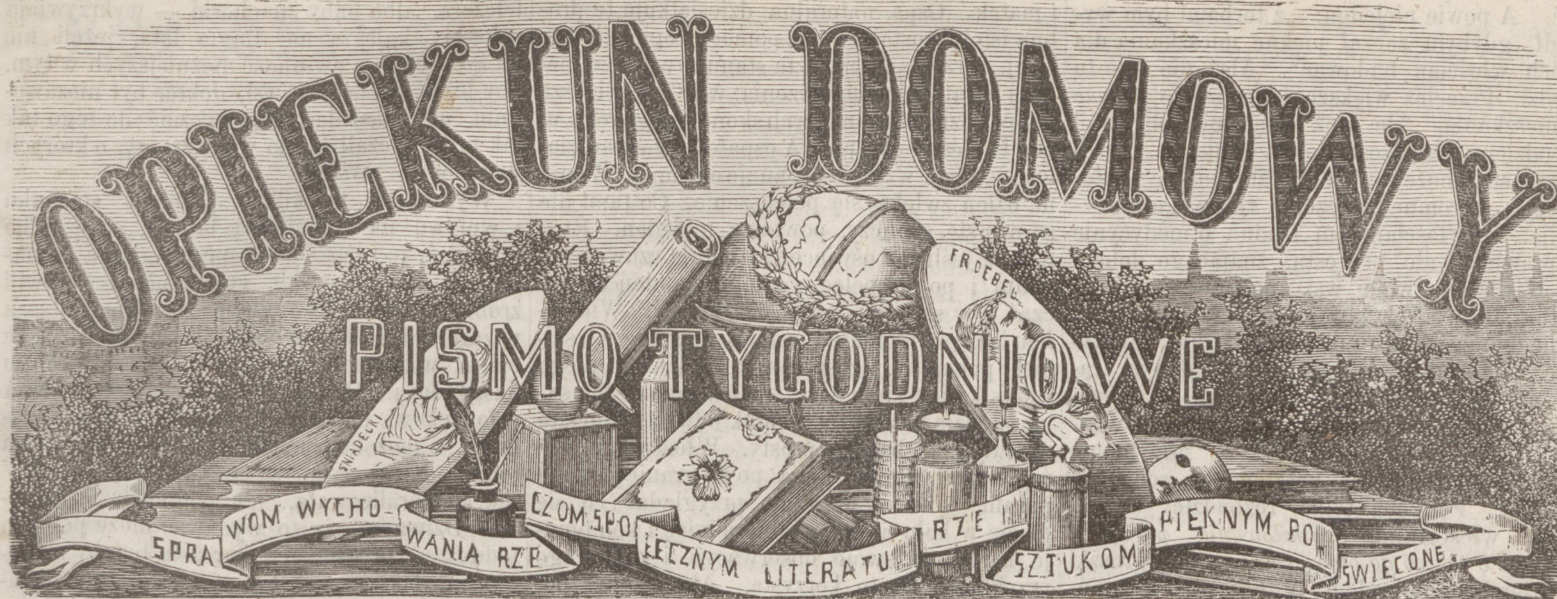
Nr. 10. Warszawa dnia 27 Lutego (11 Marca) 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie . . .	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie . .	„ 1 „ 80	półrocznie . .	„ 2 k. 50
kwartalnie . .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie . .	„ 30	w Prusach „	5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

W SPRAWIE LUDU

IV.

Mieszkania, ubiory, zabawy.

Lat dziesięć mija od chwili, w której włościanin nasz, czasem swoim i małym kawałkiem ziemi rozporządzać może dowolnie, *niezależnie*. Człowiek nawet na tak niskim poziomie umysłowym jak nasz włościanin zostający, oceni jednak coto jest być u siebie—rozporządzać sobą. To mu dodaje ochoty do pracy, to go w wielu razach do jaśniejszego posuwa myślenia, to go jednym słowem na właściwą popycha drogę. Nie znam wszystkich okolic kraju naszego, tam jednak gdzie byłem, niemogłem niezauważyć zbawiennego wpływu jaki uwłaszczenie wywarło. Pod względem materyjalnym jeżeli byt niejednego nie polepszył się, jeżeli dziś jak dawniej potrzebuje stosunku z obywatelem i szuka służby u niego, zmieniło się jedno: iż kawał gruntu na którym siedzi jest jego własnością. Zdawałoby się to napozór nic nieznaczące. Mając jako służący kawałek ziemi, uprawiał go byle jak, nie doglądał, nie strzegł. „Pańskieto“ powiadał, „mniejsza z tym“. Wyprowadził się gdzieindziej, ziemia w inne szła ręce, które po roku lub dwu, oddawały ją następnym i t. d. Dziś wie włościanin, że ta morga lub więcej, jest jego, wie, że może nią rozporządzać, że nikt nie jest w stanie odebrać mu tego, powiada sobie *moje*. To „moje“ ma wielki wpływ—ma wielkie znaczenie we wszystkich stanach, narodach od najdawniejszych czasów. Często się zdarza, że najgorszy rządca jest najlepszym gospodarzem gdy swoim rządzi, bo o skórę własną każdy dba. Nikt nie może zaprzeczyć, ażeby za dobrobytem materyjalnym nie szło i jakie takie rozwinięcie umysłowe, że tego są zaledwie słabe zarodki—wiemy wszyscy. Tu mały przykład: Wiadomo jak powszechnym nałogiem panującym u nas na wsi jest pijaństwo. Najmniej, ogranicza się do niedzieli i świąt, nie mówiąc już o wszystkich okolicznościach, gdzie także wódka musi być w robocie. Otóż przed niedawnym czasem było tego więcej. Pijane tłumy spotykałeś w każde święto — niedzielna zabawa w karczmie nie obeszła się bez pijatyki, a następnie bitwy. Dziś trochę inaczej, wszystko to i teraz się zdarza, ale znacznie rzadziej. Bezwarunkowo ten fakt pocieszający kładę na karb większej zaradności — większego o sobie myślenia, a przez to i podniesienia się moralnego. Właściciel kawałka gruntu, zanadto jest do niego przywiązany, aby go przefacyjendować na wódkę, pije więc mniej, bo za pożyczane pieniądze strach. Powiedzą: dobrze—cóż się to jednak dotyczy nieobdarowanych pozostających jak dawniej na służbie? Odpowiem: przykład tak zły jak dobry, jest równie zaraźliwy, naśladować lubimy, więc kółko wstrzemięźliwych coraz się bardziej powiększa, jedni patrzą na drugich. Niech się jednak nikt nie uwodzi tym co dopiero powiedziałem, obecny stan jest jeszcze tak daleki od względnej nawet doskonałości, że w naszym położeniu tylko *krok naprzód* zrobić możemy. Położenie jest mniej więcej takie: w ciasnej i brudnej izdebce (najczęściej jednej) mieści się włościanin z całą rodziną. Rodzina ta najczęściej jest bardzo liczna. Zdarza się często, że oprócz ludzi zamieszkujących to ciasne mieszkanko, lokatorami są gęsi, kury i inne domowe zwierzęta. Możemy więc sobie wystawić, w jakiej atmosferze rosną i wychowują się dzieci i w jakiej atmosferze żyją ciężko pracujący. W lecie świat boży piękny — to i o zaduch w stancyi mniejsza; ale zimą? ale jesienią? Rzadko która z naszych chałup jest zbudowaną dobrze pod względem sanitarnym. Najczęściej z gliny lub drzewa z małemi nieopatrzonemi dobrze okienkami, ciemna i wilgotna, daje powód do tysiąca chorób, których przyczyn napróżno szukamy w powietrzu. Kwestyja mieszkania między włościanami jest tak zaniedbaną, że aż dziwno czasem jak obywatel mieszkający w pałacu o kilka kroków od

ŚLADY ŻYCIA.

X.

Tyle życia, ile... w czynie.

Traktowana w długim szeregu artykułów w „Wieku“—„kwestyja żydowska“ przed kilku dniami ukończoną została. Ze względu, że sprawa ta stanowi dla nas jeden z najważniejszych problematów ekonomicznych, że tym samym dla każdego myślącego czytelnika nie może ona być obojętną: chcielibyśmy tu ex-re właśnie rzeczonego traktatu zaznaczyć parę maleńkich ze swej strony uwag. Naturalnie niepodobna nam idąc w ślad za autorem—zastanawiać się z osobna nad każdym z jego szesnastu czy więcej artykułów tych kwintesencyją. Autor, kończąc, powiada że między innemi, w podniesieniu kwestyi żydowskiej miał na celu: „zwrócić uwagę wielu piszących w tej kwestyi na trudności, na niezwalczone niemal przeszkody jakie w rozwiązaniu onej polegają, na szczupłość i niedostateczność środków jakiemi rozporządzać możemy. Czuć się będziemy, dodaje autor szczęśliwemi, gdy praca nasza ostudzi fantazyjne projekta i skłoni do głębszego zajęcia się tą materyją. Co do pierwszego-tojest celu zwrócenia uwagi piszących na „niezwalczone“ trudności, przeszkody i t. p. to wyznać musimy, że usiłowania pod tym względem autora były co najmniej... zbyteczne, albo lepiej — spóźnione. Gdybyśmy bowiem zebrali cały stos rozpraw zarówno dawniejszych jak i z czasów ostatnich, przekonalibyśmy się nader łatwo, że w każdej z rozpraw i rozprawek tych, owe „niezwalczone trudności“ na pierwszym stawiane są planie, że *żaden* z autorów rozbierających kwestyją żydowską *z punktu ekonomicznego*, niechcąc być w niezgodzie z najelementarniejszą logiką, nie uważał jej bynajmniej za kwestyją dającą się rozstrzygnąć praktycznie „jednym zamachem pióra“. Przeciwnie *każdy* z piszących a nadewszystko z piszących w czasach ostatnich, istniejące tu w rzeczy samej przeszkody, stawiał mniej więcej jasno i określał je z góry; a co więcej to określenia te, nie wyłączając i podanych nam przez szanownego autora, są w największej części *identyczne*. Ta więc nauka moralna wystosowana wprost do „piszących w kwestyi żydowskiej przyszła na świat zdaniem naszym... zapóźno. Co zaś do owych „fantazyjnych projektów“ jakie praca autora, ku jego uszczęśliwieniu, ma „ostudzić, to szkoda doprawdy, że autor trafnej tej z wielu względów uwagi nie odniósł przedewszystkim do siebie i nie *ostudził* naprzód tym sposobem własnych t. j. *przez siebie* stawionych planów. Na czymże bowiem plany te zasadzają się głównie? Otóż autor, nie aprobując bynajmniej wskazywania dla żydów zajęć rolniczych życzy sobie:

1. By nieprodukcyjne warstwy ludności żydowskiej oddały się pracy na polu fabrycznego przemysłu i rzemiosł.

2. By tacy rzemieślnicy i fabrykanci—żydzi,

siebie, ścierpieć może brud, stęchliznę i wilgoć. A powie niejeden: „z torbami bym wyszedł, gdybym zaczął piękne mieszkania dla moich włościan budować“. Ależ nie o to tu chodzi. Przecież większość ma swoje *własne* pomieszkania. Ale któż jeżeli nie obywatel w codziennych pozostający stosunkach z włościaninem, może mu jasno i zrozumiale wytłomaczyć, ogromne znaczenie zdrowego mieszkania. Z włościaninem trudno o medycynie rozprawiać;—ale poprostu, znając go dobrze (osobliwie w swojej wsi) pogadać z nim raz i drugi, pokazać na żywych przykładach skutki zaniedbania iść raz i drugi do izby, zawstydzić, pochwalić gdy można i w danym razie nie odmówić materyjalnej pomocy. Przecież wszyscy specyjalnie obznajmieni z wiejskiemi stosunkami, wiedzą że utrzymanie należyte mieszkania, kosztów za sobą nie pociąga. Potrzeba tylko rozbudzić w naszym włościaninie *zamiłowanie porządku* i *dbanie o to, co go otacza.* Że to nie gruszki na wierzbie—dowodem W. Księstwo Poznańskie. Kto je zna, nie posądzi mnie o przesadę, gdy powiem, że w kwestyi o której mówię, wyprzedziło nas o całe niebo. Nic więcej—chęć tylko była i staranność i zrobiło się. Prawdziwej doznajesz satysfakcyi, mijając jedną po drugiej gęsto rozsiane wioski. — Zewnątrz czystość wzorowa, przystajesz, wchodzisz do środka, toż samo. Widzisz ład, skład, aż miło. Któż może naszych włościan popchnąć na podobne drogi, jeżeli nie obywatel mieszkający z nim o miedzę i będący z nim w ciągłych stosunkach? Ale potrzeba przedewszystkim, aby ten obywatel ze siebie dobry dawał przykład, a wiemy, że różnie to bywa.

To co powiedziałem o mieszkaniach, odnosi się, tylko w silniejszych jeszcze rozmiarach do ochędóstwa ciała. Tomyby można napisać o tym, w jakito sposób utrzymują się włosy, ubranie, słowem wszystko. Powie ktoś: czasu na to nie ma. Praca od wschodu do zachodu słońca. Ale tu nie o to chodzi. Kwestyja w tym, aby najprostsze potrzeby ubrania i zastosowanie się do pory, spełnionemi zostały. Dzieje się inaczej. Włościanie płci obojej zarówno prawie noszą się w lecie jak i w zimie. Ta sama sukmana, buty, kapelusz u męszczyzny, te same *spódniczki, czepce i chustki* u kobiety. Nie potrzebuję dodawać, ilu to śmierci i chorób jest przyczyną. Skutkiem braku staranności i czystości około dzieci rok rocznie wiosna i zima porywa ich tysiące z łona ojców i matek. Ospa naturalna dziesiątkuje te drobne istoty zostające bez pomocy i opieki lekarskiej. Przeglądałem akta stanu cywilnego, jednej parafii; niedouwierzenia: w 1872 r. większa połowa dzieci nie mających skończonego roku, umarła. Jestto okropne. A ospałość i zatwardziałość pod tym względem panuje ogromna. Z dnia na dzień zwleka się polepszenie. Co tam! nie za nas się skończy, powtarza niejeden. Któż jednak jeśli nie oświeceńsi, ciągle czuwać powinni i po kropelce wody na kamień upuszczać, aby skutek pożądany otrzymać. Widziałem ja to już nieraz na wsiach, że gdzie właściciel porządny, gospodarny, gdzie u niego wszystko jak się należy, z włościanami tak samo—gdzie na odwrót i skutek odwrotny. Jestto zresztą fakt bardzo prosty. Włościanin, którego myśl nie wybiega po za granicę swojej parafii, musi się bacznie przyglądać co się dzieje w koło niego, rozbiera więc i kombinuje następnie swoje obserwacyje i z dobrego przykładu często korzysta. Ale czuwać potrzeba, ale z miłością ogólnego dobra nigdy się zmijać nie można, bo złe jest, a naprawić go nie tak trudno jak się wydaje. To co się powiedziało o zaniedbaniu w ubraniu i mieszkaniu, odnosi się także i do pokarmów. Trudno abyśmy naraz przewrócili cały system wiekami utarty, trudno abyśmy się wzięli do popularnych wykładów o szkodliwości obżarstwa i pijaństwa. Trudno to, niepodobna prawie. Ale prowadzę zawsze do tego, że tylko w ręku obywateli jest możność usunięcia złego choć w części. Nie potrzebujemy naszym służącym zakazywać zupełnie wódki, ale przy sposobności trafić do przekonania wymódz na niejednym, iż wyrzecze się zgubnego nałogu, nie dodawać ochoty, nie przebierać trunkiem jak się to najczęściej dla zachęty podczas żniw przytrafiać zwykło. To zrobić każdy może, aby cel jego życia tylko nie na zebranych zasadzał się plonach. Więcej powiem ponieważ pijaństwo jest między naszym ludem dość jeszcze powszechne, wyznaczyć pewne nagrody dla wstrzemięźliwych. Wszystkoto jest nic nieznaczące, a przy pracy i usilności — skuteczne.

Jednym z ważniejszych przesądów, trapiących także wiejską ludność jest *brak zaufania do lekarzy.* Praktykę doktorską między wiejskim ludem, odbywa najczęściej felczer. Doktór pozostawiony dla dworu. Domówcie sami co robi się z pacyjentami w ręku chciwego felczera, albo baby znachorki — wykrzywiają członki, kaleczą na długie lata, jeżeli nie na życie całe. Powinność możniejszych w tym, aby jeżeli słabość we wsi, doktór był niezawodnie, aby nasz lud przyzwyczajć do tego tak jak przyzwyczaił się do wielu rzeczy, o których dawniej nie myślał.

Wyliczając te kilka sposobów stosunku i wpływu na biedniejszą bracią; chcę tylko wykazać, że i bez silnego przynaglania do nauki, do liter, do sylab, coś w *obecnej* chwili zrobić można. Powiadają, że zdrowa dusza w zdrowym ciele; niechże więc po rozwinięciu opieki w tym kierunku nastąpi inna więcej do duszy idąca. Pracującemu przez cały tydzień człowiekowi, potrzeba dać sposób uczciwej zabawy, o mozołach nauki trudno myśleć jak na teraz. Niech tylko zabawa taką będzie, aby nie demoralizowała, ale podnosiła człowieka. Dziwnym się to wydawać może powiem jednakże, że usunięcie karczem byłoby zupełnie niewłaściwe. Nie— niech karczma zostanie -- ale obok niej urządźmy przy folwarku izbę dużą, czystą, jasną, gdzieby zasiadłszy do poobiedniego świątecznego spoczynku, pracownicy roli, mogli swobodnie pogwarzyć. Dla młodszych inne zabawy; tańców niedzielnych wyrzucać nie można, bo ta przyjemność zanadto między naszym ludem zakorzeniona, ale dajmy im inny charakter, zmniejszmy czas trwania. Kto chce, to do karczmy na pijatykę i przekleństwa, kto nie chce to do wspólnej izby na kufelek piwa i trzeźwą gawędkę. A kto wie czy powoli nie mogłyby tam zajrzeć i litery i czytanie, i poważniejsza rozmowa i nauczyciel wykładający jasno a zrozumiale tajemnice świata, który nas otacza i którego częścią jesteśmy?! Ale powoli... powoli... powtarzam. Pracujmy w winnicy ale tak: abyśmy z chwilą obecną rachować się mogli, każdy w swoim zakresie, niech na dnie duszy swojej odszuka miary, do której troskę około dobra publicznego podnieść powinien. A do tego tak nie wiele potrzeba... Trochę odwyknięcia od zastarzałych nałogów, trochę myśli o drugich, trochę serca dla uboższych duchem, a najważniejsza, ciągłego pilnowania i nieopuszczania swego stanowiska. Spać nie można, gdy chodzi o dobro ogólne. Zróbmy tylko co na dziś, będzie to niezawodnie: *krok naprzód.*

Ar. Za.

---

rozmieszczeni zostali *po wsiach i wioskach naszych.*

3. By w całej tej reformie przyjęli czynną i bezpośrednią inicyjatywę *żydzi bogacze,* którzy reformę tego rodzaju mogą sami *dokonać.* Możni synowie Izraela mają nietylko tworzyć nowe fabryki, lecz nadto, dla dzisiejszego proletaryjatu żydowskiego organizować odpowiednie praktyczno-naukowe zakłady, tworzyć i utrzymywać osobne dla młodzieży żydowskiej warsztaty etc. etc.

Ktokolwiek, niezgłębiając nawet zbytecznie kwestyi żydowskiej, spojrzy na nią trzeźwym jedynie okiem, ten przyznąć niewątpliwie musi, że oile pierwszy z powyższych wniosków w zasadzie jest słuszny, o tyle drugi zdradza brak bliższej, ze strony autora, znajomości *dzisiejszych* stosunków kraju, a trzeci jest *fantazyjnym.*

Potrzeba nam rozwijać przemysł fabryczny i rękodzielniczy—Zgoda. Potrzeba nam, w tym celu, obok innych środków, starać się o pomnożenie liczby zdolnych na tym polu pracowników; jakiemi właśnie mogliby stać się żydzi. I na to zgoda. Lecz dlaczego ów rozwój pracy rzemieślniczej, ma obierać sobie *dziś już* za swoje locum *wsie* nie zaś całe setki zaniedbanych obecnie naszych miniejszych i większych partykularzy. Wszak przemysł handel i rękodzieła stanowią dla tych ostatnich jedyną podstawę bytu i główną nić życia, gdy dla wsi pozostaje inne znów niesłychanie ważne ekonomiczne zadanie, pozostaje eksploatacyja bogatych darów przyrody, pozostaje wreszcie dostarczanie pracy i czynnego zajęcia miastom i miasteczkom. Do czegoż więc prowadzić nas mają podobne ekonomiczne skoki? dlaczego mamy dążyć do rozwoju rzemiosł po wsiach gdy setkom powtórzymy partykularzy rozwój ten, rozwój zdrowy i racyjonalny jest dziś jeszcze prawie zupełnie nieznanym i gdy skutkiem tego właśnie partykularze owe stanowią do pewnego stopnia dla nas odłóg bezpłodny—są jedną z zardzewiałych sprężyn organicznej pracy narodu? Zacznijmy więc raczej od podźwignienia rzemiosł w naszych miasteczkach a o wsiach, następnie o rozmieszczaniu tam *rzemieślników*-żydów czy *nie*-żydów łatwiej będzie pomyśleć.

Wniosek nareszcie autora trzeci nazwaliśmy fantazyjnym. Nazwaliśmy go zaś takim względnie do stawionych tu już przez naszych publicystów, a pod *takie* właśnie miano podciągniętych wniosków czy projektów innych. Gdy bowiem „niejeden z piszących“ praktyczne rozwiązanie kwestyi żydowskiej widzi przedewszystkim w inicyjatywie czynnej ze strony ludności chrześcijańskiej—w inicyjatywie polegającej z jednej strony na uregulowaniu stosunków kredytowych, z drugiej zaś na szerszym niż dotychczas przyjęciu udziału w handlu, na zawiązywaniu w tym celu odpowiednich spółek i stowarzyszeń, na zniewalaniu przeto tym (najskuteczniejszym bo wprost z natury rzeczy wynikającym) sposobem całych nieprodukcyjnych zastępów żydowskich, do pomyślenia o nowych warunkach swej egzystencyi, to znaczy o zdrowej i produkcyjnej pracy; autor natomiast „kwestyi żydowskiej“ w „Wieku“ dla osiągnięcia tego samego celu żąda jedynie inicyjatywy *żydów możnych,* to jest, żąda ni mniej ni więcej, jak tylko, by krańcowy dziś, w sprawach społecznych i n d y f e r e n t y z m przemienił się w... o f i a r n o ś ć czy też w p o c z u c i e o b o w i ą z k ó w szerszych; żąda, by wartość ludzi zajęta wyłącznie sobą i oddana całkowicie *szybko-obrotowym* spekulacyjom stała się naraz promotorem najwznioślejszych czynów obywatelskich. Któreż więc z tych dwu streszczonych tu żądań, który raczej z obu tych zasadniczych planów, praktycznej reformy ekonomicznego bytu żydów nazwaćby można więcej *fantazyjnym?*—osądź bezstronny czytelniku. Niezależnie jednak od tego niezbyt fortunnego wywodu autora, praca jego, tam zwłaszcza gdzie ją wspierają dane statystyczne, zawiera wiele

BEZ OPIEKI

SZKIC POWIEŚCIOWY

napisała

Maryja Szeliga.

Wybaczcie mi czytelnicy, że was najprzód wprowadzę na ciasną i ponurą uliczkę w bliskości Starego Miasta w Warszawie. Musimy przejść małe, pozbawione świeżego powietrza podwórko, i po krętych wschodach wdrapać się na trzecie piętro, gdzie mieszkają osoby, któremi pragnę was zainteresować. Jesień zimnym tchnieniem przenikała na ulicy członki najbardziej n wet otulonych osobistości, i każdy spieszył do domu, marząc roskosznie o ciepłym blasku kominkowego ognia, lub dobroczynnym piecu należycie rozgrzanym — a niejednemu, stół zastawiony przyborem do herbaty, musiał się wydać czymś, nadzwyczaj mile na usposobienie działającym. Ale w mieszkaniu o którym wspomniałam, składającym się z jednego pokoju o dwu małych okienkach, zacienionych w pobliżu stojącemi murami kamienicy sąsiedniej — chłód był taki jak na ulicy, a mały samowarek umieszczony w kącie, przeznaczony na kuchenne przybory, milczał, nie kryjąc w sobie dostatecznego żaru węgli. Mała lampka oświecała prosty stolik i kanapkę, na której siedziała kobieta lat średnich, czarno ubrana, i szyła pilnie. Twarz jej była matowo bladą, długie rzęsy opuszczone, rzucały cień nieledwie grobowy na wpadnięte policzki, czarne włosy odbijały rażąco od wysokiego, przedwcześnie zgrzybiałego czoła. Obok szyjącej, w rogu kanapki, przytuliły się dwie małe dziewczynki, śliczne istotki, uśpione we wzajemnym objęciu. Twarzyczki ich snem zarumienione, miały czarowny wdzięk piękna i niewinności. Jedna blondynka, druga brunetka obiedwie były podobne rysami do siebie i do matki, poglądającej na nich co chwila z czułością, a niekiedy z żalem przeświecającym łzami w podkrążonych czarną obwódką oczach. Suchy kaszel często wyrywał się z jej piersi— tłumiła go, aby nie zbudzić śpiących dziewczynek. Nakoniec, złożyła robotę, powstała, widocznie zbierając na to sił ostatek — i chwiejnym krokiem poszła do kuchni, aby nastawić samowarek. Po wielu usiłowaniach, zdołała rozdmuchać iskrę, następnie ustawić szklanki i gdy herbata była gotową, wróciła zbudzić uśpione dzieciny. Dwa pocałunki złożone na ich różowych usteczkach, dokonały tego natychmiast; obie otworzyły powieki i patrząc na matkę czarnemi i błękitnemi oczkami, uśmiechnęły się obejmując ją za szyję. W pokoju zrobiło się niby jaśniej i cieplej. Dziewczynki, z których jedna, brunetka, zwała się Emiliją, a druga, blondynka, Lucyną, na pamiątkę dnia gdy się obiedwie, bliźniaczkami urodziły, trzydziestego czerwca — były szczebiotki, swawolnice i śmiech ich dźwięczny, klaskanie drobnych rączyn, pocałunki i żarty, rozweseliły zmęczoną matkę, której ognista plama chorobliwego rumieńca wystąpiła na twarz marmurowo bladą. Dzieci, liczące najwyżej po siedm wiosen, nie mogły jeszcze poznać się na rodzaju choroby swej matki. Skakały koło niej, czepiając się jej rąk z miłością i Emilka, rezolutniejsza od siostry, zauważyła nawet, że mama z rumieńcem bardzo dziś ładnie wygląda. Biedna suchotnica uśmiechnęła się blado, i gwałtem stłumiła łzy w oczach. Po herbacie, wezwała dziewczęta, aby jej powiedziały wpierw nauczoną lekcyją francuskich rozmówek, potym kazała im czytać kolejno historyję polską, a gdy oczęta Lucynki znów do snu kleić się zaczęły, ucałowała je obie, rozebrała, ułożyła w łóżeczku, a sama znów wzięła robotę do ręki.

Niedługo ktoś zapukał, i wszedł do pokoju męszczyzna niemłody, który na wstępie rzekł:

— Ile razy mówiłem pani, że zabijasz się pracując całe dnie i wieczory?

— Ale mój doktorze — odparła z smutnym uśmiechem kobieta—kilka dni dłużej lub krócej, nic dobrego moim sierotkom nie przyniosą, a kilka rubli więcej, w przyszłości bardzo im się przydać mogą!

— Nie mów tak droga pani! — zaczął przybyły rzucając palto na krzesło rozpacznym ruchem—co za myśli do głowy ci przychodzą! Będziesz pani zdrową, tylko szanuj się więcej! Proszę położyć tę nieznośną robotę!

— Dobrze! — wymówiła i napad kaszlu zatamował jej słowa. — Widzisz pan, łudzić się nie mogę — dodała zesłabłym po ataku głosem—ale czekałam pana niecierpliwie! Chciałam pomówić.

— I mówić pani dużo nie pozwolę!—przerwał doktór siadając obok niej, i biorąc jej wychudłą rękę dla zbadania pulsu.

— Daj pan pokój! Od kilku tygodni mam trawiącą gorączkę, i nic mi już nie pomoże! Wierz mi, spokojnie umierałabym, w nadziei połączenia się z moim Augustem, gdyby.... — i tu płacz jej stłumił mowę — gdyby nie moje biedne sierotki!

— Pani!—chciał przerwać doktór—ale mu nie dozwoliła.

— Wiem mówiła dalej, że są ludzie poczciwi na świecie, że ty doktorze, i twa dobra żona, nie opuścicie ich na bruku — ale wy nie jesteście bogaci, nie możecie przyjąć na siebie ciężaru wydatków i dlatego, o ile możności, staram się zebrać fundusz na ich utrzymanie! Słuchaj doktorze, gdy umrę, znajdziesz u mnie na piersiach kluczyk od szkatułeczki tej, co stoi pod mym łóżkiem, tam, jest tysiąc rubli, zebranych oszczędnością i pracą moją — bo wiesz, że biedny August, marzył o świetnej przyszłości i żyjąc zbytkownie nigdy ze swojej płacy nie zachował nic na czarną godzinę!.. Inne losy zdawały się uśmiechać Luci i Emilce! trudno!... wola Boga! mąż mój zbyt wcześnie nas odumarł, a jam ledwo tyle, z najwyższym sił natężeniem uzbierać mogła!

— I przez to natężanie, skróciłaś sobie życie—zarzucił doktór.

— Nie! zaród mej choroby, tkwił dawno w mych piersiach. Zaziębiłam się, niestety! na balu! Lekkomyślności mojej nie mogę sobie darować! ale dopiero nieszczęście uczy nas być rozumnym doktorze! August i ja szafowaliśmy kapitałem zdrowia i pieniędzy, nie pomnąc na przyszłość—ah! a teraz najboleśniejszą karą za to, jest myśl, że ją odpokutować mają nasze dzieci!

— Uspokój się pani!—prosił wzruszony doktór.

— Pamiętaj pan, po mojej śmierci, zabierz pieniądze do siebie, i czuwaj nad mieniem moich sierotek, udzielając im w razie potrzeby małe zaliczki. Pragnęłabym, aby się nie rozłączały — ale czuję, że tak się stać nie może! Moja ciotka jeszcze dawniej chciała wziąć Emilkę i zapewne nie zmieni zamiaru — Lucynkę...

— Bądź pani spokojną! My ją weźmiemy!— odezwał się ze łzami w oczach doktór.

— Dziękuję ci! Będę spokojniejszą. Emilka ma mój charakter, żywszy, bardziej stanowczy od siostry. Ma zdolności do nauk, i życzę sobie, aby się kształciła wysoko. Lucia, wątlejsza, mniej pojętna, bojaźliwa, łagodna— nie będzie dla was niemiłą w rodzinie!...

---

trafnych i bezstronnych uwag, które nie pozostawiane w dziennikarskim rozproszeniu, lecz zebrane w osobną całość stanowićby mogły w kwestyi żydowskiej nie bez pewnej wartości, literacki przyczynek.

* * *

Oile Warszawska spółka kolportacyjna ukazała się jak to mówią na czasie, mamy na to dowód już dziś w namacalnej jakkolwiek, zazbyt krótkiej i że tak powiemy początkowej dopiero praktyce. Mimo niechętnych *pewnych* głosów i stereotypowego milczenia ze strony większości naszej prasy, nowe to przedsięwzięcie w najciaśniejszych nawet zakątkach prowincyi, budzi coraz żywszy interes. Małomiasteczkowa inteligencyja pojęła widocznie swoje obywatelskie zadanie i ważność nowego stanowiska względem otaczających ją, a pozbawionych dotychczas wszelkiej umysłowej strawy szeregów, przyjmując licznie i chętnie agentury miejscowe. Dziś też tam, gdzie do niedawna jeszcze z wyjątkiem uprzywilejowanych kalendarzy wszelki inny płód umysłowy, nie miał absolutnie prawie przystępu, gdzie chcieć kupić książkę znaczyło to samo, co żądać gwiazdki z nieba, dziś i tam już rzeczy wprost przeciwnie się mają. Dziś słowem droga szerzenia i upowszechnienia światła została już roztwartą i idzie tylko o to, by drogę tę eksploatować w najszerszy dla ogółu sposób; by *cały* ogół prowincyjonalnej a w szczególności małomiejskiej inteligencyi, świeży ten zwrot handlu księgarskiego wziął żywo i gorąco do serca, by każdy, komu oświata mas jest drogą, śpieszył tu z bezpośrednią obywatelską radą i pomocą.

* * *

A w istocie... pomoc tego rodzaju — pomoc na polu krzewienia zdrowej i pożywnej nauki, wydać może najpłodniejsze następstwa. Ot np. w tych dniach byliśmy świadkami jak do jednej z księgarń tutejszych, weszło trzech chłopków z okolic Łowicza z żądaniem „dla swych dzieci“ książek, których tytuły mieli szczegółowo wynotowane „na kartce“. W spisie tym zauważyliśmy pewien zacną tendencyją nacechowany dobór. Były tam książki dla dzieci, znalazły się jednakże niemniej dla dorastających, jak również i dla dorosłych. Obok elementarzy i początkowych podręczników, obok np. książeczek p. Jeskego, były zanotowane: „Życie Franklina“ „Wychowanie Domowe“, „Pomoc Własna Smilesa“, „O Samopomocy w kształceniu się“ Jeleńskiego, tudzież wszystkie książeczki wydawane nakładem Redakcyi „Gazety Rzemieślniczej“. Zapytani kto im ten spis ułożył i wybór zrobił, odpowiedzieli, że panienka *ze dworu*. Drobny to na pozór, lecz w gruncie wiele mówiący fakcik. Gdybyż to bowiem *takich* „panienek“ znalazło się więcej, gdyby raczej każda jednostka inteligencyi wiejskiej poczuwała się do podobnie świętego obowiązku względem warstw nieoświeconych o ileż w takim razie podniósłby się u nas poziom umysłowości zbiorowej a z nim i zbiorowa pomyślność i...

* * *

Jaką szkodę wyrządzaliśmy krajowi, zaniedbaniem gałęzi swojskiego przemysłu, a w szczególności zaniedbaniem naszych kopalniowych skarbów, okazuje się to najwybitniej teraz gdy poznając ten kolosalny błąd i olbrzymie stąd straty — poczynamy dzięki inicyatywie zdrowo i po obywatelsku myślących jednostek starać się: pierwszy naprawić a ostatnie choćby w małej cząstce nagrodzić. Uwagę tę nasuwa nam mimowoli fakt takiej mniej więcej treści: Przy fabrykacyi cukru potrzebną jest znaczna stosunkowo ilość *kamienia wapiennego*, który niejedna z naszych cukrowni sprowadzała i sprowadza dotychczas *z zagranicy*. Między innemi trzymała się tego samego systemu i cukrownia (jedna z większych) Duninów. Sprowadzała mianowicie kamienia rzeczonego (z kopalni Rüdersdorf pod Berlinem), za sumę do 20,000 rsr. rocznie.

Długo w noc ciągnęła się podobnej treści rozmowa. Biedna matka z oczyma zwróconemi na łóżeczko swych córek, błagała doktora, o czuwanie nad ich wychowaniem i przyszłością — boleść, tęsknota, niepokój, walczyły w jej duszy, aż wzruszenie osłabiło ją nadzwyczajnie, i doktór przymusił ją prawie, aby przestała mówić — przyrzekając jej święcie dopełnić włożonego nań obowiązku.

Przewidywania chorej spełniły się zbyt wcześnie. W kilka dni potym, już nie żyła, a doktór płacząc pociehu, odprowadzał z cmentarza dwie małe sierotki w grubej żałobie, z czerwonemi od łez oczyma, które łkając wołały bez przestanku: Mamo!

Skarga dziecięca jest dziwnie rzewna i przejmująca. Żona doktora i cała jej rodzina z uczuciem powitała dziewczynki tuląc je do piersi, i zowiąc Lucię swoją córeczką. Po Emilkę przybyła wkrótce jej babka cioteczna, której także łzy w oczach stanęły mimo surowego oblicza, jakie ostro się przedstawiało spod krezy białego czepka. Gdy się bliźniaczki dowiedziały, że muszą się rozłączyć, żal ich był ogromny, rozdzierający serca obecnych. Nielędwie gwałtem wydarto ich z wspólnego objęcia, i na wpół przytomną Emilkę, wsadzono do dorożki, która ją wraz z babką odwiozła do zamieszkałej przez nią kamienicy na Podwalu.

Zmrok zapadał już, i duży salon przybrany w staroświeckie sprzęty, niewesołe robił wrażenie. Emilka rozpłakała się głośniej, bo niewytłumaczony przestrach ogarnął jej serce. Babka w milczeniu zdjęła czarny kapelusz ze swej głowy, usiadła w fotelu, wsparła nogi o rzeźbiony podnóżek, pogłaskała tłustego pinczera, co się łasił leniwie wstrząsając krótkiemi uszkami, i nakoniec odezwała się do płaczącej dzieweczki:

— Zbliż się Emilko!

Dziecię machinalnie było posłusznym. Babka pogładziła jej główkę, jak przed chwilą pinczera, i mówiła jej, że niepowinna płakać za mamą, która poszła do nieba, że niech będzie spokojną i grzeczną, to nikt tutaj nic złego jej nie zrobi — i wiele innych ogólników, które widocznie nie trafiały do przekonania dziewczynki, bo łzy ciągle spływały dużemi kroplami na czarną sukienkę.

W kwandrans potym, Emilka z rozkazu babki siedziała na sofce, nie poruszając się z miejsca, aby jej nie przerwać drzemki, jaką codziennie zwykła urządzać w szarą godzinę. Na twarzy dziecka widne było znużenie i głęboki smutek. Nie płakała, bo jej babka stanowczo tego wzbroniła w końcu przemowy, ale niema boleść malowała się w rozwartych oczach i zaciśniętych usteczkach dziecinny.

Gdy zegar wydzwonił siódmą, równocześnie ozwały się kroki w przedpokoju, i wszedł męszczyzna z zapaloną świecą.

— A! to ty Makary! — rzekła budząc się babka.

— Siódma godzina! — odparł uroczyście przybyły. — Emilka spojrzała się nań. Był to młodzieniec około trzydziestu lat mający, wysoki, szczupły i niezgrabny, jakby każdy z jego członków, dobierany był w innym magazynie, i razem z drugim źle spojony—fatalnie brzydką stanowił całość. Głowę miał za małą, szyję za długą i nieco krzywą, ramiona za wąskie, zakończone ogromnemi rękami, nogi cienkie, do których niepojętym sposobem przyczepione olbrzymie stopy, zdawały się tak mu ciążyć, że je z pewną trudnością suwał po podłodze. Twarz jego była prawie piękna, ale wyraz martwoty odejmował wdzięk kształtnym rysom. Emilce na pierwszy rzut oka, nie podobał się straszliwie—w tym babka zawołała na nią surowo:

— To jest twój wuj, a mój syn Makary. Idź go pocałuj.

— Aha! to córka nieboszczki Marceliny. Nie przypominam sobie abym ją kiedykolwiek widział!—wyrzekł pan Makary zbliżając się do dzieweczyki ze świecą w ręku.

— Nie mogłeś ją widzieć, bo przecież dotrzymałeś sobie słowa, nie być nigdy u Augustów!—rzekła matka.

— Stanowczo nie lubiłem Augusta!—dodał pan Makary pochylając się ku zatrwożonej Emilce, która widząc, że ten wielki niezgrabny jegomość chce ją pocałować, krzyknęła mimowoli, i uciekła na drugi koniec salonu.

— Czy ta mała jest waryjatką? — zauważył obojętnie wujaszek stawiając świecę na stole. Emilka się głośno rozpłakała.

— Jest niegrzeczną i proszę, aby tego więcej nie było! Bardzo proszę!—powtarzała babka surowo, grożąc wyschłym palcem, przy wielkim, jakby wykrojonym z pargaminu nosie.

— Zrobiłbym uwagę—odezwał się pan Makary, że czas jest zadzwonić, aby podano herbatę.

— Emilko! zadzwoń!—rzekła babka. — Od dziś, o siódmej co wieczór, regularnie będziesz dzwonić pociągnięciem tego sznurka przy kominku, bo to jest znak, że życzymy sobie piéherbatę.

Dzieweczka słuchała tego z osłupieniem, i wielką chęcią do płaczu, ale wypełniła rozkaz babki i potym stanęła w kąciku śledząc ukradkiem ruchy wuja Makarego, który się tymczasem przechadzał po pokoju. Gdyby nie świeży cios, przejmujący bólem jej młodziuchne serduszko, kochające matkę nad wszystko — byłaby się niezawodnie roześmiała z miny wuja Makarego, gdy przy herbacie z wielką powagą zawiązał sobie na szyi serwetę. Człowiek ten systematycznością swych objawów istoty wewnętrznej, widocznie chciał nagrodzić nieforemność swej postaci. Każdy jego ruch, słowo, myśl, zdawały się być tylko co wyjęte z osobnej, na to przygotowanej umyślnie szufladki, a słuchając i patrząc, można sobie było wyobrazić, że szufladka owa była ciasną i pojęcia z niej wychodziły zgniecione, zmięte, zapleśniałe. Emilka nie umiała sobie tego przedstawić tak obrazowo, lecz znów była niegrzeczną, bo gdy jej chciano podobnie zawiązać serwetę, obruszyła się wołając:

— Mnie mama nigdy nie wiązała takiej szkaradnej serwety! Ja nie poleję sukienki, nie jestem niezgrabna!

Mówiąc to, rzuciła ukośne wejrzenie na wuja Makarego. Szczęściem on nie zauważył przycinku i rzekł spokojnie.

— Mała jest upartą. Z czasem, to się może wyrobić na siłę charakteru, dziś może to nieraz być szkodliwym i nieprzyjemnym, lecz wspomniawszy na rozdrażnienie spowodowane śmiercią matki, wnoszę projekt aby jej nie wiązali serwety, aż uzna sama niezbędną tego potrzebę!

— Pewno nie uznam! — pomyślała Emilka, lecz zadowolenie opromieniło jej twarzyczkę, gdy służąca, równie stara i chuda jak jej pani, odjęła brzydkie ręce od jej szyi.

Herbatę pito w milczeniu. Babka surowo spoglądała na niesforną wnuczkę. Potym wyjęła z koszyczka zniszczone karty i zaczęła kłaść passians. Wuj Makary układał z gałeczek chleba mikroskopijną piramidę.—Emilka siedziała spoglądając na matkę i syna kolejno.

— Makary! — odezwała się nagle tasując karty babka.

— Słucham mamy!—odpowiedział syn z powagą.

Na nieszczęście atoli przedsiębierców nadsprejskich, a na pociechę naszę zjawia się w pomienionej cukrowni młody chemik pan C. J. wychowaniec byłej Szkoły Głównej, który zażądawszy na próbę kamienia wapiennego spod Zawichosta dokonywa zarazem specyjalnej analizy i przychodzi do konkluzyjnego wniosku że kamień ten ostatni, nietylko że w niczym nie ustępuje łomom Rüdersdorfskim, lecz nawet pod względem użytku fabrycznego o wiele go przewyższa. Rzecz prosta że na takie dictum, panom właścicielom cukrowni nie pozostawało jak tylko pożegnać się z Rüdersdorfem, a zawiązać stosunki z kopalnią *swojską*. Że zaś przykłady tego rodzaju działają zaraźliwie, przeto nie wątpimy, że inne nasze cukrownie poznają się tu zarówno na własnej jak i ogólniejszej *rzeczy*.

* * *

Przed niedawnym czasem poruszoną była w „Wieku“ kwestyja tworzenia i zakładania biblijoteczek fabrycznych. Otóż ziarno rzucone nie padło na opokę. Dowiadujemy się bowiem z pewnego źródła, że p. Markiewicz lekarz miejscowy fabryczny w Soczewce (papiernia) biorąc myśl tę, jak to mówią do serca, zamierza na seryjo utworzyć tego rodzaju księgozbiorek. Fundusz nawet w miejscowej „kasie dla chorych“ jest już w tym celu gotowy, i idzie tylko o dopełnienie pewnych formalności zewnętrznych, poczym pierwsza u nas *biblijoteczka fabryczna* odpowiednio uorganizowaną i ku pociesze *łaknących światła* otwartą zostanie. Oby tylko szczęśliwy ten krok pierwszy corychlej zobaczył się z życiem; oby co rychlej zrobił się tu (trudniejszy może niż wszędzie indziej) początek a dalej... pójdzie już łatwiej.

* * *

Że zaduszona długo atmosfera życia prowincyjonalnego poczyna się oczyszczać, a budzący się tam ruch, rozwijające życie i pewna postępowa dążność, nie są już bynajmniej przywidzeniem, mamy tego ciągle i co więcej, to coraz wybitniejsze *ślady*. Ot np. i w tej chwili ślady podobne nasuwają się nam pod pióro. W Kutnie zawiązało się stowarzyszenie amatorsko-dramatyczne zamierzające dawać ciągłe i peryjodyczne przedstawienia na cele dobroczynne. W Radomiu zawiązano już (1-go marca) stowarzyszenie k a s y p o ż y c z k o w e j miejscowych przemysłowców; w sieradzkim kilku z obywateli ziemian powzięło myśl utworzenia „towarzystwa wzajemnego kredytu“ na wzór istniejącego w Warszawie, i oile wiemy porobione już zostały w tym celu odpowiednie kroki; w Koninie, projekt utworzenia kasy wkładowo-pożyczkowej jest również... w robocie. I jeszcze nie koniec. W podlaskim paru posiadaczy ziemskich, zawiązało między sobą prywatną spółkę w celu prowadzenia hurtowego handlu zboża, a oile słyszeliśmy i w innych miejscowościach kraju spółki podobne— spółki bodaj czy — w sferze mianowicie handlowej nie najpotrzebniejsze mają się nam narodzić. Widocznie więc, owa okrzyczana zaściankowa chińszczyzna, kruszy i rozpada się zwolna, widocznie i tam w owych zacofanych niegdyś zakątkach, miejsce, słodkiego dolce farniente poczyna już zastępować — samowiedne poczucie potrzeby zdrowej i postępowej pracy. Niech co chcą mówią konserwatywni niedowiarki; niech nas nazywają „donkiszotami przystrojonemi w różowe szkiełka“; my niezrzekając się wyrozumowanej wiary w lepszą dolę i „lepsze czasy“ powiemy zawsze, że objaw i zwrot podobny to zwrot najszczęśliwszy, to istny *ślad życia*.

* * *

Od takich jednakże śladów myśli, życia i czynu, tym smutniej, odbijają ślady inne, ślady obojętności i dziwnej apatyi w sprawach ogólniejszego zakresu. Ślad zaś taki pozostawiło po sobie (odbyte w dniu 24 lutego) drugie z kolei zebranie ogólne zgromadzenia giełdowego. Na posiedzeniu tym miał być odczytanym raport komitetu giełdowego z postanowień na

— W jaki sposób należy wychować córkę mojej siostrzeńcy?

— Trzeba jej oddać gabinecik obok sypialni mamy, z regestrem wszystkich sprzętów jakie się w nim znajdują.

— Ale co do wykształcenia.

— Mama chciała żebym była bardzo rozumną!—przemówiła dziewczynka. z westchnieniem na wspomnienie niedalekiej przeszłości.

— Nie odzywaj się, gdy ci się nie pytają!—zawyrokowała babka. — Otóż pomyśl Makary, czy ma się stać zadość życzeniu jej matki?

Pan Makary wzniósł w górę brwi, ramiona, i oba wskazujące palce, przyczym zwrócił głowę na bok, przyglądając się pilnie dziewczynce.

(d. c. n.)

ARNOLD WINKELRIED.

(Podług najnowszych badań historycznych).

(Dokończenie.)

ARNOLD WINKELRIED.

Zwracamy się do szwajcarskich wiadomości o bitwie. Najstarszy kronikarz szwajcarski od czasu bitwy pod Sempach, spółczesny pisarz miejski *Justinger* z Bernu, opowiada wypadek bardzo krótko. Oba wojska napadły na siebie; sprzymierzeni w formie klina; oni też zwyciężyli, jak pobożnie kronikarz dodaje, z boską pomocą. O Winkelriedzie i jego czynie nie ma najlżejszej wzmianki; ani też o murze włóczniowym, przez rycerzy utworzonym. Obszerniejszy jest opis podany przez dwie Zuriskie kroniki. Jedna z nich zawiera pewien szczegół, uważany za najdawniejszy ślad czynu Winkelrieda. Powiada: Kiedy sprzymierzeni wielkiej z początku doznali klęski, pomógł im Bóg do zwycięstwa. Zawdzięczać to należy pewnemu uczciwemu człowiekowi spomiędzy sprzymierzonych; gdy ten szlachetny pobożny mąż zobaczył, że wnukom jego tak źle idzie, a rycerze swojemi lancami i dzirytami na przodzie stojących zakłówali, zanim Szwajcarowie mogli ich halabardami dosięgnąć; rzucił się naprzód i pochwycił tyle włóczni, ile tylko mógł objąć i połamał je, tak że sprzymierzeńcy mogli się już naprzód posunąć. I wesoło zawołał: „Wszyscy uciekają." Wówczas zabito wielu hrabiów rycerzy i pachołków, a Szwajcarowie odnieśli zwycięstwo. Druga kronika Zuryska spółczesna poprzedniej i w innych razach z nią zgodna, szczegółu tego w sobie nie mieści. Co się powyższego opowiadania tyczy, to niema w niej wiadomości o nazwisku mężnego bojownika, ani o jego śmierci. Ponieważ się cieszy z porażki nieprzyjaciół, musiał przy życiu pozostać, gdyby był poległ, kronikarz nie przepomniałby o tym z pewnością. Otóż ponieważ ów szczegół w bardzo niezręczny sposób wpleciony został w opowiadanie, gdyż dopiero wówczas o nim wspomniano, gdy już powiedziano, że Szwajcarowie odnieśli zwycięstwo i że Leopold z wielu panami zabity został; — uważać go można za późniejszą interpelacyją. Odpis w którym się on znajduje, datuje z r. 1476, napisanie kroniki z r. 1466, a zatym w 80 lat po bitwie—przeciąg czasu po którym sprawozdawcy nie mogą być za spółczesnych uważani, i w czasie którego podanie mogło się przez powtarzanie już uformować. Nietylko imię, ale sam czyn nie jest jeszcze znany luzerneńskiemu kronikarzowi Melchijorowi *Russ*, który w sto lat po bitwie kronikę swoję pisał, gdzie przepisując Justingera, ani słowa o Winkelriedzie nie wspomina. Dodaje nawet do krótkiego obrazu Berneńczyka anegdotyczne rysy, np. że Austryjacy mieli dwa wozy pełne powrozów, ażeby na nich sprzymierzonych powywieszać, i że rycerze nosy u butów sobie poodcinali, ażeby módz łatwiej walczyć pieszo, czyżby zapomniał albo przemilczał i o czynie Winkelrieda. Nie, on nic o nim nie wiedział. Tenże dziejopis Russ dodaje do swego opowiadania pieśń o bitwie Sempaskiej, w której tyleż o Winkelriedzie co i w prozie, chociaż liczy 18 strof; wspomina mnóstwo szczegółów i imion walczących i poległych i wedle zdania kronikarza powstała bezpośrednio po bitwie. Otoż pieśń ta została wpleciona w inną o 67 strofach, stanowiącą właśnie najdawniejsze źródło, z którego poczerpnięto wiadomość o czynie Winkelrieda i o jego nazwisku, ale jeszcze bez imienia. Ostatnia strofa przypisuje autorstwo pieśni pewnemu Luzerneńczykowi nazwiskiem *Halbauter*, który miał ją utworzyć z bitwy wróciwszy. Krytyka atoli historyków dowiodła, że pieśń ta przed trzecim dziesiątkiem XVI-go wieku była nieznaną! twierdzenie więc w ostatniej strofie zawarte jest nieprawdziwe, co już i stąd wynika, że Russ zna tylko mniejszy poemacik. Rzeczywiście Ottokar Lorenz dowiódł ostatecznie, że większa pieśń składa się z trzech części, z owej ostatniej pieśni i dwu innych.

Tak więc przed wiekiem szesnastym nie znano wcale nazwiska Winkelrieda; w tym dopiero stuleciu dziejopis *Egidyjusz Tschudi*, któremu również zawdzięczamy ostatnią redakcyją podania o Tellu, wplótł w dzieje bitwy pod Sempach historyją Winkelrieda i dodał bohaterowi swojemu imię Arnold.

Jakimże sposobem powstało opowiadanie o nazwie i czynie Winkelrieda— zapyta (i słusznie) czytelnik. Postaramy się na to pytanie odpowiedzieć.

Czyn, o jakim mowa, w większej pieśni o bitwie Sempaskiej i u Tschudiego, często wzmiankuje się w historyi szwajcarskiej. Najdawniejszy kronikarz Szwajcarski *Jan z Winterthur* opowiada o nim dwa razy z powodu nic nieznaczących bitew w roku 1271 i 1332, a w obu wypadkach jako dokonanym przez habsburskich wojowników w walce z Bernem. Norymberski zaś patrycyjusz *Wilibald Pirkheimer*, który, jak wiadomo, walczył w tak zwanej wojnie szwabskiej cesarza Maksymilijana przeciwko Szwajcarom, przypisuje czyn podobny Henrykowi *Wolleb* pod Frastenzy (1499). Często atoli pojawienie się takich rysów jest okolicznością zmniejszającą ich podobieństwo; stąd też posiadają one coś z właściwości mitów, w których również poświęcenie się jest niejednokrotnie wspominane.

Przychodzi do *nazwiska* bohatera. O ile pod względem historycznym źle się ma z istnieniem rodziny Tellów, o tyle pomyślnie z istnienieniem domu Winkelriedów z *Stans* w Unterwalden. Winkelriedowie posiadają dyplomy z bardzo dawnych czasów. Najstarszy z rodu, o jakim wiemy, był rycerz Rudolf Winkelried (1248 r.), żarliwy zwolennik wielce nielubionego cesarza Fryderyka II-go z domu Staufów. W latach 1275 aż do 1303 zjawia się po kilkakroć rycerz Henryk Winkelried przezwany Schruton, lennik hrabiego Rudolfa z Habsburg-Laufenburg.

O tym to Schrutonie opowiada Tschudi swoje *pierwsze* do Winkelrieda odnoszące się podanie. I tak Tschudi z zupełną powagą opowiada: jako w r. 1220 *smok* ogromny zniszczył ziemię Unterwalden i jako żadne środki zbrojne nic przeciw niemu poskutkować nie zdołały. Wówczas to niejaki pan Struth Winkelried, który za zabójstwo na wygnanie był skazany, oświadczył, że smoka zwalczy, jeżeli mu wrócić do ojczyzny pozwolą. Tak się też stało; zabił potwora spisą owiniętą w ciernie i mieczem.

---

korzyść przemysłu i handlu. Była to więc rzecz zgóry już niejako „zaciekawiająca" rzecz niesłychanej wagi. Czyż zresztą postanowienia na korzyść dwu pierwszorzędnych źródeł krajowego bogactwa mogą być dla nas, dla nas mianowicie, poczynających dopiero w tym kierunku dążyć i pracować, czy postanowienia, powtórzymy, spraw takich dotyczące mogą być obojętne? A jednak zgadnij też łaskawy czytelniku, jak licznie szanowni członkowie zgromadzenia, wiedząc niby o tym wszystkim, zebrać się raczyli? Oto ni mniej ni więcej tylko na dwa tysiące przeszło zapisanych do zgromadzenia, przybyło ich 109 wyraźnie *stu dziewięciu*. I czyż to nie jasny dowód, że nasz świat przemysłowo-handlowy, pojmuje dobrze swoje obowiązki i szersze społeczne zadanie? Lecz wracając do samego aktu zebrania, wyznać musimy, że co do owych postanowień na korzyść przemysłu i handlu", niezbyt przyjemnie zostaliśmy zdziwieni. Cóż bo to były y postanowienia". Możnaby tu biorąc rzecz ściśle, powiedzieć, że... były i... nie były. Jeżeli bowiem sprawa tyle doniosła, sprawa dotycząca interesu np. jakim jest giełda produktów—przez dziewięć blisko miesięcy ani krokiem prawie nie posunęła się naprzód, to czyż można powiedzieć, że szanowny komitet przez cały ciąg swego istnienia na korzyść przemysłu albo handlu coś „postanowił"?... Wprawdzie, w kwestyi tej postanowiono coś na samym już zebraniu; postanowiono mianowicie, że giełda produktowa powinna być wprowadzoną natychmiast bez oczekiwania na instrukcyją dla agentów, przyczym ma być opracowany jej regulamin i ogłaszany szluscettel (ceny ostateczne). A więc giełda produktowa ma się nareszcie narodzić nam *natychmiast*; dobrze więc... czekajmy i cieszmy się... nadzieją.

* * *

Sosnowice, 28 luty 1874 r.

Jak niedawno zmuszeni byliśmy wytknąć postępowanie, pewnej części młodzieży składającej miejscowe towarzystwo—tak z drugiej strony, stokroć milej przychodzi nam zanotować fakt, jaki pod wpływem postu szczęśliwie się objawił na naszym partykularzu. Otóż z inicyjatywy i za staraniem pani Z.... mają się utworzyć literackie wieczorki dwa razy w tygodniu t. j. w niedziele i czwartki—Celem ich jak wogóle wszystkich zebrań tego rodzaju, jest przedewszystkim miłe a pożyteczne przepędzenie czasu, jak również kształcenie umysłu, oparte na swobodnej wymianie zdań i myśli.

Członkowie mają zamiar zaciągnąć pożyczkę w celu zakupienia niewielkiej biblijoteczki, której pojedyncze tomy stanowićby mogły źródło i podstawę do kwestyj rozbieranych na wieczorach. Wpisowe i miesięczne składki mają spłacać pożyczkę i służyć zarazem na prenumeratę pism i do zakupu dzieł. Proponujemy towarzystwu wypisywanie także i odczytów publicznych, mianych w Warszawie w różnym czasie i ogłoszanych drukiem, których powtarzanie na zebraniach, miałoby piękny cel zaznajamiania słuchaczów z rozbiorem kwestyj mało im znanych, jak również dałoby pojęcie o potędze słowa prelegentów, których wielu z nas nigdy może słyszeć nie będzie. Przy tej sposobności składamy publiczne dzięki panom Ch. i K., którzy przyoblekli myśl naszę w ciało czynu i nieszczędząc trudów, zajęli się urządzeniem zabawy składkowej na korzyść s t y p e n d y j u m i m i e n i a K o p e r n i k a, w dniu 24 lutego. Dochód wynoszący rsr. 91 kop. 80, odesłany przez pana Ch. do Redakcyi Tygodnika Illustrowanego. Dziękujemy więc gospodarzom za ich trudy, jak również i gościom, którzy licznym zebraniem, choć w części przyłożyli się do uwiecznienia pamięci człowieka, który nam tyle sławy u innych narodów przysporzył.

S. M.

Ale gdy miecz podniósł, jad smoczy spadł mu na ciało i rycerz umrzeć musiał.

Z tego się pokazuje, że cała historyja jest czysto-mityczna. Struth Winkelried jest poprostu unterwaldskim waryjatem Herkulesa, Zygfryda, św. Jerzego i innych, bo zwany jest ucieleśnionym bogiem, co smoka nocy zabija, ale i sam zginąć musi. Opowiadanie Tschudiego o starszym Winkelriedzie rzuca bardzo niekorzystne światło na prawdziwość późniejszego jego opowiadania o Winkelriedzie młodszym spod Sempachu.

Jako spółcześnie podania o Tellu i bitwie pod Morgarten, pojawiają się (od 1309 do 1329 r.) Rudolf i Walter Winkelried, roku 1365 Wilhelm Winkelried i wielu jeszcze innych tegoż nazwiska, chociaż niewiadomo czy pokrewieństwo również ich łączyło. Wreszcie 1365 napotykamy świadka nazwiskiem *Erni* (Arnold) Winkelried, a w 1389 znowuż Erni Winkelried się pojawia. Jeden z tych dwu Ernich jest Arnoldem spod Sempachu, gdzie miała miejsce bitwa między obu powyższemi datami, albo są oni jedną i tą samą osobą; a w takim razie pod Sempachem żadenby Winkelried nie zginął. Tschudi przytacza wprawdzie *swego* Arnolda Winkelried jako tego, który pierwszy w roczniku *Stans'a* wymieniony był pomiędzy poległemi Unterwaldczykami, ale *kiedy* ten rocznik został spisany—tego niewiadomo.

Pierwszego i jedynego z Winkelriedów, który wspominany jest w sprawozdaniach sprzymierzonych jako bohater wojenny, poznajemy od r. 1512 w owym *Arnoldzie Winkelriedzie*, co ogromną grał rolę w czasie owej wojowniczo sławnej ale moralnie smutnej epoce, kiedy sprzymierzeni na szkodę dobrych obyczajów swoich wystąpili jako panowie wyższych Włoch. Znajdujemy go jako dowódcę gwardyi Szwajcarskiej przy księciu Maksymilijanie Sforzy w Medyjolanie, jako najmężniejszego wojownika w nieszczęśliwej bitwie pod Marignano, gdzie francuzi zniszczyli wojenną sławę Szwajcarów, ale po haniebnym sojuszu z Francyją—widzimy go jako francuskiego żołdownika i walecznika pod Bicocca, gdzie do starego swego towarzysza broni *Jerzego Frundzperg*, znanego niemieckiego przywódzcy najemników zawołał: „Ty stary towarzyszu, toż ja ciebie tu widzę? Musisz umrzeć z mej ręki.“ Lecz padł nie Frundzberg ale Arnold Winkelried (1533 r.)

Ten ostatni Winkelried (syn jego był ostatnim z rodu), taką w swoim czasie miał sławę w Szwajcaryi, że nazwisko jego łatwo przystosować się mogło do postaci, która wówczas właśnie uwieczniła w umysłach większa pieśń o bitwie Sempaskiej.

A rezultat? Faktem jest, że blisko w półtorasta lat po bitwie pod Sempachem później opowiadany czyn Arnolda Winkelrieda, znany nie był; o bitwie zaś samej opowiadano w ten sposób, że Szwajcarowie dzięki swemu męstwu z jednej, a złej dyscyplinie Austryjaków z drugiej, czynu owego do zwycięstwa nie potrzebowali bynajmniej. Czy Erni Winkelrid w tym czasie żyjący walczył pod Sempachem i czy poległ tamże, jest rzeczą małej wagi przy powyższym składzie wypadków. Stąd też ku wielkiemu żalowi naszemu czyn Winkelrieda, jak go wielka pieśń o bitwie sempaskiej i Tschudi opowiadają, uważać musimy za powoli powstałe podanie, a bohatera jej na los Tella skazać.

Ten pocieszający rezultat nie przynosi zresztą ani ujmy uczuciu Szwajcarów, ani ich męstwu, owszem przenosi to ostatnie na *wszystkich* uczestników bitwy, nie zaś na jednego uprzywilejowanego bohatera, który miał dopiero innym drogę ku zwycięstwu torować. Postaci bohaterskie mają wprawdzie wielki urok; większy jeszcze atoli ma prawda dziejowa, która *masom* wielkość serca, odwagę i—zwycięstwo przyznaje.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Poznań, dnia 3 marca.

Pozwólcie, że wbrew zwyczajowi korespondentów, pierwszy popis w piśmie waszym, rozpocznę bez wstępu; czytelnicy nic na tym nie stracą, wy zyskacie na miejscu, ja zaś nie potrzebuję sobie głowy łamać od czego zacząć, lecz przejdę odrazu do rzeczy.

Od lat dziesięciu nie było u nas tak spokojnego karnawału jak tegoroczny. Przesilenie pieniężne, które okropne skutki zdziałało wśród poważnych firm naszych kupieckich i tak już jęczących pod naciskiem niemieckiego współzawodnictwa, i coraz smutniejsze stosunki nasze, wszystko to, jakby się sprzysięgło na umorzenie hucznych zabaw, tak gwarnego o tym czasie Poznania. Publicznych zabaw nie było wcale; za to prywatne *zabawy tańcujące* udawały się *świetnie*, a przepychem nie ustępowały bynajmniej zeszłorocznym balom. Zabawy te były zazwyczaj dorywczo i nagle improwizowane. Pierwszy raz też może toalety dam, wynikiem były czysto rodzimego przemysłu; bo gdy czasu nie stało na sprowadzenie strojów, udać się trzeba było do naszych modystek, które prawdziwie po mistrzowsku dokonały swego dzieła, wystawiając, jak nas zapewniano w dwie godziny, nader gustowny strój balowy. Spragnione ochoczej zabawy pary, nie spłoszyły się nawet północą dnia popielcowego, słusznie uświęcając popielec istotny od tej chwili dopiero, gdy kapłan rozkołysane jeszcze ostatniemi dźwięki posuwistego mazura głowy, rozbroił ponurym słowem: „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz.“

Jeżeli karnawał tegoroczny nie rozwinął świetności zabaw lat zeszłych, nierównie za to więcej mieliśmy rozrywek umysłowych, i tak: w pałacu Działyńskich odbywały się odczyty ks. Licencyjata *Likowskiego*, „o kościele ruskim.“

W towarzystwie przemysłowym, zbierają się co poniedziałek liczni słuchacze na wykłady ks. *Tłoczyńskiego* lub pana *Naumanna*. Również w Towarzystwie młodych kupców, odbywają się nader pouczające wykłady. Pan *Rakowicz*, wyłożył nam tu w bardzo jasny sposób całą metodę nowej monety, a w dalszym ciągu wyłoży prawo wekslowe i hipoteczne. Pan Rakowicz, wspierając młode Towarzystwo w ten sposób, zasłużył sobie na najżywszą wdzięczność i uznanie; znając bowiem rzetelne zasady Towarzystwa i patrząc na błogie skutki, które z trudnością wywalczać sobie musi, spodziewamy się, że pod dobrym kierunkiem i szczerze oddając się pracy, będzie innym Towarzystwom przykładem, a kiedyś może im nawet nowe podyktować prawa; społeczeństwu zaś naszemu dostarczy kupców prawdziwych, którzy śmiało stawią czoło niemieckiemu współzawodnictwu.

Na sali bazarowej, dano niedawno dwa koncerty; pierwszy z nich na cel dobroczynny, drugi, na dochód artysty opery naszej pana Horbowskiego; obydwa wykonane zostały przy współudziale amatorów. Nic dziwnego, że obydwa te koncerta zgromadziły na salę bazarową kwiat dziewic naszych, nic dziwnego, że obydwa udały się tak dobrze, gdy artyści pod wpływem uroku pięknych ocząt, czerpali natchnienie. Pierwszy to raz publicznie występował jeden z młodych amatorów, pan Zajfred; pisma nasze winszując mu powodzenia zapowiadają p. Zajfredowi świetną przyszłość, o czym i my nie wątpimy, życzymy tylko, ażeby mu się nadarzyła sposobność zwiedzenia zagranicznego konserwatoryjum.

Młoda scena nasza, pracuje jak może i wiele nam już dała dowodów artystycznego smaku. Zanim jednakże zajmę się nią szczegółowo, niech mi wolno będzie oświadczyć, że zadziwił nas tu niemało sąd korespondenta z Poznania, do jednego z pism warszawskich, który dziwi się, że opera nasza, „rzucać się może na tak trudne opery jak Halka lub Violeta,“ a że publiczność nasza tak licznie właśnie na opery się schodzi, wyciąga stąd wniosek, o niskim u nas stopniu muzycznego wykształcenia i smaku. Jeżeli szanowny korespondent widywał opery zagraniczne, i z niemi porównywając młodziutką scenę naszę, tak ostry sąd wydaje, odpowiemy mu ze Syrokomlą:

....„Jak dla nich śpiewać? kiedy mają narów,
Że za swój pieniądz, chcą dobrych towarów...
. . . .
....Gdzież nam doścignąć? nie równa gonitwa,
Co insza Paryż, a co insza Litwa...“

My z naszej strony, podzielając opiniją publiczną sądzimy, że wdzięczni być powinniśmy dyrekcyi teatru, za wystawienie Halki, a publiczność, która po dwudziesty już raz za jej przedstawieniem zapełnia teatr, dowodzi, że umie oddać cześć gienijuszowi naszego mistrza. Tobyśmy raczej tylko zarzucić mogli dyrekcyi, że zapowiada na afiszu śpiewać mającego artystę, (o którym wiedzą wszyscy że wyjechał), aby tuż przed przedstawieniem zapowiedzieć ze sceny, że zapowiedziany na afiszu artysta z powodu choroby wystąpić nie może. Tak się stało już po raz drugi na przedstawieniu Halki, gdzie dla „choroby“ pana Horbowskiego objął partyją jego pan, Koehler. Już też drugi raz się zdarza, że prześliczny ów śpiew: „Za cóż mi w chwilach czarownych owych“ zupełnie wypuszczono.

Artyści zresztą nasi skarżyć się nie mogą na obojętność publiczności dla siebie. Pierwszym ulubieńcem publiczności w operze, jest bezwątpienia pan Koziołowski (tenor), który tymbardziej zasługuje na to, że nigdy jeszcze nie potrzebował zastępcy „dla choroby.“ Czysty głos jego mieliśmy sposobność podziwiać szczególnie w Rigolecie. Tony sięgające aż do wysokiego *h* wyrzucał pan Koziołowski nadzwyczaj melodyjnie i bez widocznego natężenia, umiejętne zaś użycie *piano* i *forte*, uczyniło śpiew jego prawdziwie mistrzowskim, który go wistocie godnym uczynił grzmiących na cześć jego oklasków.

Pan Trojacki (bas) rozwinął swój głos należycie w Żydówce, jako kardynał Brogni, to też publiczność nie szczędziła mu oklasków. Pan Horbowski (baryton) raczej ulubieniec salonów niż publiczności, z wdzięcznością śpiewa Janusza w Halce, a prawdziwie z uczuciem oddaje przecudny śpiew: „Skąd tu przybyła mimo mej woli.“ Każdorazowe wystąpienie primadonny opery naszej, pani Macharzyńskiej, okrywa ją grzmotem oklasków; widzimy stąd jak wysoko ceni ją publiczność nasza. Panna Jarczyńska, która w Halce dość niewdzięczną śpiewa partyją Zofii, w Żydówce dopiero uprzytomniła nam melodyjny dźwięk swego głosu w partyi księżniczki Eudoksyi. Wspomnę tu jeszcze o przyjemnym alcie panny Brodkowskiej, która szczególnie w operetce z powodzeniem występuje. Z artystów dramatycznych wymienić przedewszystkim należy, pana Cybulskiego, Zamojskiego, Mikulskiego, Koehlera, Wernera i Bolesławicza. Z dam, panna Kwiatyńska, w rolach tragicznych gra z prawdziwym przejęciem się; pani Mikulska, panna Heneman i pani Wesołowska, cieszą się za każdym wystąpieniem uznaniem publiczności; również jak panna Biron, która w rolach naiwnych huczne zbiera oklaski.

Repertoar sceny naszej dowodzi dobrych chęci i starań dyrekcyi. Halka, Violeta (La Traviata) IV akt Rigoleta i Żydówki, z operetek: Piękna Galatea, Małżeństwo przy latarniach i Czuła struna, otóż to sztuki, których

powodzenie zawdzięczamy przedewszystkim panu Stefanowi Krzyszkowskiemu, dyrektorowi naszej opery. Z nowych komedyj przedstawiono: Obce żywioły, Pozytywnych, Emancypowane, Epidemiją, Domy polskie w XVII wieku, Marcowy kawaler, Przezorna mama i Akrobata. Jakkolwiek krytyka nie zawsze wyrażała się nazbyt łaskawie o tych sztukach, publiczność jednakże wszystkie z uniesieniem przyjęła. Z powyższego co o teatrze powiedziałem, widoczne, że teatr stały w Poznaniu ostać się może. Z upragnieniem też wyglądamy chwili, w której wprowadzimy artystów naszych do nowego przybytku sztuki, gdyż będziemy mieli to błogie przekonanie, że pieniądz przez nas dany, nie płynie na haracz do kieszeni niemieckich. Budynek teatru w ogrodzie Potockiego, wyprowadzono już pod dach; a sądząc z rozmiaru i wiązań zdaje się, iż odpowiadać będzie jaknajzupełniej wymaganiom nowoczesnych wyobrażeń.

Rozpisałem się zanadto może o teatrze; ale uczyniłem to raz, aby dać czytelnikom pogląd na stosunki sceny naszej, a potym, że to jedyna nasza umysłowa rozrywka, której reprezentanci nie wchodzą w zakres amatorów.

Poznańskie nasze, ze śmiercią ś. p. Seweryna i Franciszki Mielżyńskich w Miłosławiu, straciło jedyny i ostatni zakątek, gdzie gienijusz i talent znajdowały pomoc, a stargane w usługach dla społeczeństwa siły, przytułek i schronienie. „Prozaiczność“ też księstwa wystąpi teraz pewnie w całej swej nagości, gdy reszta ludzi utalentowanych wyniesie się za granicę szukać znikłych już u nas, „mecenasów“ sztuki [1]), albo porzuci kierunek jaki im gienijusz wskazywał w przekonaniu, że zajęcie się sztuką nie da przyszłości. Te myśli nasunęły mi się, gdym oglądał w pracowni młodego ucznia gimnazyjum Maryi Magdaleny, prześlicznie wykończony obraz — Kopernika, wykładającego nowy swój system, (podług obrazu Andrioliego). Lecz zimne niewiało uczucie, gdy młodzieniec na moję zachętę kształcenia swego talentu odpowiedział mi z przeświadczeniem: „nie warto, sztuka mi nie przyniesie chleba.“

Więcej nierównie rozbudziło się życie u nas w ostatnim lat dziesiątku na polu literatury za staraniem tak chlubnie znanego z zasług pana Żupańskiego, o czym w przyszłej korespondencyi obszerniej pomówię. *S. A.*



1) *Praktyczny wykład nauki Gospodarstwa Społecznego dla młodzieży*, przez Maurycego Blocka przełożył z francuskiego J. Święcicki (Warszawa 1873 r.) nakład S. Czarnowskiego i t. p.

2. *Ekonomija Polityczna* przez pana Fawcett (popularne wydawnictwo Tygodnika „Przyroda i Przemysł“ tomik II, Warszawa 1874 r.).

Chyba tylko jakiś krańcowy konserwatysta, nie zgodziłby się dziś na to, że praktyczne upowszechnienie wiedzy ekonomicznej, stanowi jednę z najpilniejszych potrzeb duchowych naszego społeczeństwa, że upowszechnianiem tym warunkuje się, w znakomitej części, nasze zdrowie, siła i życie. Dziś też zewsząd prawie dają się słyszeć głosy nawołujące do zdrowej, ekonomicznej pracy, zewsząd sypią się gradem projekty tych lub owych reform w ustroju naszego gospodarstwa społecznego. „Zawiązujmy spółki i stowarzyszenia“, wołają jedni; „rozszerzajmy nasze handlowe stosunki, eksploatujmy nowe drogi zbytu“ dodają drudzy, „dźwigajmy nasz fabryczny i rękodzielniczy przemysł, rozszerzajmy skalę naszej produkcyi przetwórczej“ powiadają inni. Wszystko to piękne, ani słowa, wszystko racyjonalne, uczciwe i prawdziwym obywatelstwem tchnące. Dopóki jednak wiedza ekonomiczna, migotać będzie, w pośród naszego ogółu, błędnym tylko ognikiem, dopóki znajomość podstawowych zasad gospodarstwa narodowego nieprzeniknie do świadomości mas całych: dopóty wszelkie projekty i rozprawy ekonomiczne iść będą *na marne*. Z drugiej zaś strony samo upowszechnienie tej tak pożądanej nauki, napotyka w praktyce niesłychane przeszkody. Ekonomika, jak wiadomo, w zakres nietylko pierwiastkowego, lecz i średniego kształcenia nie wchodzi dotąd wcale; a odczyty popularne, z bogatej tej dziedziny należą do wyjątkowych; jedynym więc środkiem stają się tu, jak obecnie popularne książki, które dziś dopiero poczynają się ukazywać. Witamy je też jak najpożądańszych zwiastunów, bo zwiastunów lepszej... przyszłości. Zwiastunów tych jednak nienależy przyjmować na ślepo, przeciwnie, choćby z wyjątkowym pobłażaniem, trzeba im przyjrzeć się bliżej, trzeba ich ściślej nieco wybadać. Z tą ostatnią myślą wzięliśmy do ręki „Praktyczny wykład nauki gospodarstwa społecznego znanego ekonomisty *Blocka* i po przeczytaniu sąd nasz w taki mniej więcej sformułował się sposób. Książeczka to, która 14-to czy 15-to letniego np. młodzieńca czy pannę może pchnąć dzielnie na drogę samodzielnego myślenia, może wywołać zdrowy pogląd na sprawy codziennego życia, otworzyć oczy na podstawowe warunki jednostkowej i skierowanej pracy, rozbudzić wreszcie w młodym czytelniku ducha ekonomicznego i zachęcić go bezpośrednio do dalszych w tym kierunku studyjów. Istotnie trafność pomysłu i zadziwiająca jasność wykładu rzeczy częstokroć najzawilszych każą z góry niejako zapowiadać *taki* a nie inny skutek. Ale... (otóż jest i „ale“) ale szkoda że skutek ten nie daje się odnieść wprost do czytelnika *polskiego*, że raczej niemoże on być takim jakimby był niewątpliwie, gdyby dziełko to miało charakter więcej *miejscowy*, gdyby przeto w czytelniku wzbudziło tym silniej chęć poznawania spraw i stosunków ekonomicznych społeczeństwa *własnego*. Wprawdzie tłumacz wzgląd ten miał na uwadze; wprawdzie jak sam powiada w przedmowie lokalność francuską zamienił na polską; zamiana ta jednak odnosi się w największej części tylko do osób i nazwisk miejscowości nie zaś do stosunków i wielu żywotnych nawet spraw wewnętrznych. Tak np. gdy na str. 69 nauczyciel rozprawia z interlekutorami *o stowarzyszeniach wytwórczych*, (o których jednak nie wyraża, wyjątkowo jakoś jasnego i dokładnego ze swej strony sądu); mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego ci panowie: Piotr, Robert, Trepka i t. d. nie wzięli sobie za przedmiot swych ciekawych i pouczających dyskusyj *stowarzyszeń np. spożywczych wkładowo-zaliczkowych* albo *magazynowych*, które przecież istnieją i zawiązują się u nas, i za powstawaniem zresztą których sam szanowny tłumacz niejednokrotnie i gorliwie głosował. Niezależnie jednak od tego rodzaju braków, książka *Blocka* obejmuje i wypełnia cały szereg podstawowych prawd ekonomicznych i co ważniejsza—prawd wyłożonych w sposób jak najbardziej przystępny i zrozumiały nietylko dla dorastającej młodzieży ale nawet dla dzieci, bo oparty na trafnym objaśnieniu przykładami branemi wprost z życiowej praktyki. Każda prawie teoretyczna zasada opartą jest na praktycznym przykładzie, każda przeto w umyśle młodego czytelnika tym silniej ugruntować się może. Stosuje się zaś to nadewszystko do wykładu „o własności“ o znaczeniu i podziale pracy, o zamianie, cenie i kapitale; jak również nader jasno wyłożoną jest rzecz np. o zbytku i oszczędności, handlu i spekulacyi, a żałować jedynie trzeba, że niemożna tego samego powiedzieć odnośnie do wykładu np. o kredycie, albo spożyciu. W ogólności jednak biorąc—książkę p B. śmiało możemy polecić rodzicom naszej dorastającej młodzi, śmiało możemy powiedzieć, że zasługuje ona na jak najszersze upowszechnienie, że obok rozrywki dostarczyć może umysłowi zdrowej i prawdziwej nauki.

Przekład zaleca się starannością; dziwi nas tylko, dlaczego tłumacz zamiast wyrażenia „żądanie i zaofiarowanie“, nieużył: „popyt i podaż“ (z Supińskiego), które zdaniem naszym, nierównie lepiej rzecz malują.

„Ekonomija Polityczna“ p. *Fawcett* ma także na celu spopularyzowanie podstawowych wiadomości ekonomicznych, ma to samo doniosłe zadanie, zasiewać *zdrowe* ziarna pożytecznej nauki w masach. Szkoda tylko, że z zadaniem tym, pod wielu bardzo względami się mija, że raczej obok ziarn zdrowych zawiera wiele stęchłych, jak i obok prawd mieści i naukowe błędy powodując w umyśle początkującego, na tym polu czytelnika, pewien chaos i zamieszanie, pewną gmatwaninę pojęć. Sam układ przedmiotu grzeszy dziwnym jakimś nieładem. Autor np. wpierw odpowiada czytelnikowi na pytanie: co są pieniądze? co jest zamiana? i co jest system handlowy, nie odpowiedziawszy mu przedewszystkim skąd i jakim sposobem powstają same przedmioty wymiany, czyli: co to jest produkcyja, jakie są jej czynniki, rodzaje i t. p. Wiele zasad ekonomicznych jest tu objaśnionych przykładami lecz jakież to są przykłady!? Ot np. o pracy nieprodukcyjnej (str. 13) czytamy: „praca mówcy publicznego, kaznodziei jest nieprodukcyjną; praca męża stanu jest w ogólności nieprodukcyjną(!!), chociaż w niektórych przypadkach (?) pośrednio (?) wytwarza bogactwo.“ „Praca, czytamy dalej, nieprodukcyjnego pracownika, niekiedy, jak gdyby przypadkowo wytwarza bogactwo. Wskutek pracy chemików dokonane zostały odkrycia, które znakomicie ułatwiły wiele procesów przemysłowych“. Widocznie więc, chemicy (z zasady zaliczeni do nieprodukcyjnych(!) są tylko „przypadkowo“ produkcyjnemi producentami. Wiele zaś rzeczy wcale nie jest objaśnionych przykładami i to rzeczy niezbyt dla nieobeznanego z nauką przystępnych—np. teoryja kolonizacyi Wakelfiend. Co dziwniejsza, to autor ucząc np. o komunizmie nic nie wspomina o spółkach i stowarzyszeniach. Być może że o tych ostatnich dowiedzą się czegoś czytelnicy w części dziełka drugiej, lecz w takim razie dlaczegóż koniecznie mają wprzód wiedzieć o komunizmie? Jeżeli do usterek powyższych dodamy nadto zupełny prawie brak uwzględnienia stosunków miejscowych, to przyznać musimy, że książka p F. *względnie do swego przewodniego zadania*, nader skromną reprezentuje wartość. Uwzględniając jednak przysłowie o „bezrybiu“ niemożemy nie życzyć jej poczytności, a sterujących popularnym wydawnictwem niezapytać—dlaczego nie zrobili szczęśliwszego wyboru? *J. J.*

---

[1]) Smutna to byłaby oznaka umysłowości, gdybyśmy zawsze się oglądali jedynie na „mecenasów“ a ze śmiercią ich upadali na duchu.

ROZMAITOŚCI.

W ciągu r. 1873 założone zostało kosztem rządu seminaryjum nauczycielskie w Krasnojarsku (gub. Jenisejska); ziemstwo gubernii Kurskiej założyło szkołę dla nauczycieli w Kursku, a pani Czepielewska szkołę dla nauczycielek w Moskwie. Oprócz tego zatwierdzono ustawę seminaryjum nauczycielskiego w gubernii Permskiej. W celu udoskonalenia w zawodzie nauczycielskim osób zajmujących już stanowiska pedagogiczne, odbywały się w 63 miejscowościach różnych gubernij nauczycielskie zjazdy.

Szkoły elementarne ludowe doznawały i w roku przeszłym braku nauczycieli, który szczególnie uczuwać się dawał w pięciu okręgach naukowych: Petersburskim, Moskiewskim, Charkowskim, Kazańskim i Odeskim, gdzie na 11,000 szkół, więcej niż 3,090 z konieczności zostawać muszą pod kierownictwem ludzi nie wykształconych i nie spełniających godnie swoich obowiązków, a którzy dla tego tylko są cierpiani, że trudno znaleść zdolniejszych nauczycieli na ich miejsce. Pod względem materyjalnym położenie szkółek ludowych, a zwłaszcza na wsi, nie jest wcale pomyślnym; znaczna ich część nie ma zapewnionego bytu pomimo usiłowań ziemstwa, mieszkańców i pomocy rządu.

Przyczynki do kwestyi kobiecej. II. Licea kobiece w Niemczech. Jakkolwiek zajmują się u nas kwestyją kobiecą, mało jednakże wiemy o ruchu jaki na tymże polu panuje; więcej dbamy o ogólniki i teoretyczne spory, aniżeli o praktyczne projekta i wiadomości. Tak np. od lat kilku istnieją już niedaleko od nas wyższe zakłady naukowe dla kobiet; a publiczność nasza bardzo mało wie o nich. Sądzimy więc, że nie będzie rzeczą zbyteczną podać o zakładach tych niektóre szczegóły, mogące mieć pewne znaczenie przy tworzeniu projektów reformy kobiecego wykształcenia. Wiadomość tę czerpiemy z dobrego źródła, bo z artykułu p. Kreynberga (Deutsche Bletter 1873 Nr. 16), który albo sam był uczestnikiem, albo też posiadał wiadomości z pierwszej ręki.

Najpierwszym i najbardziej znanym tego rodzaju zakładem jest Liceum Wiktoryi w Berlinie, zostające pod protekcyją następczyni tronu, a pod kierownictwem energicznej a oględnej angielki panny Archer, znanej zresztą stąd, że była przez kilka lat nauczycielką dzieci następczyni tronu i że dotychczas słynie w pruskiej stolicy jako zdolna nauczycielka angielszczyzny. Wczasie nauki prywatnej konwersacyi angielskiej, wywiadywała się ona starannie o życie i obyczaje swoich uczennic. Wzruszało ją to niezmiernie, że przez próżność i żądzę użycia, pomimo całej próżni wewnętrznej, przebijało się u młodych dziewcząt pragnienie udoskonalenia swojej własnej wiedzy. Gdzie tylko była jaka prelekcyja, tam śpiesznie dążyły. Panna Archer wpadła na szczęśliwą myśl uzupełnienia wiedzy kobiet w sposób przez nie same wybrany, t. j. za pośrednictwem odczytów, urządzonych systematycznie. W przeciągu jednego wieczora niepodobna wyczerpać przedmiotu, prawdziwej, istotnej korzyści słuchacze stąd nie osiągną; ale kilkanaście odczytów może się już na coś przydać. Księżna następczyni przychyliła się do myśli panny Archer. W krótkim czasie obok panny Archer, hrabiny Reventleu i sekretarza księżnej p. Hermann, stanęły osobistości znane zaszczytnie z prac na polu nauki i literatury, jak: Du Bois-Raymond, Gneist, Holtrendorf, Lazarus i pod przewodnictwem księcia raciborskiego utworzono kuratorstwo. Z początku znaleziono trudność w odszukaniu odpowiednich sił nauczycielskich. Berlin obfituje wprawdzie w nauczycieli, ale tutaj chodziło o właściwie uzdolnionych uczonych. Pokonano jednak tę przeszkodę i w r. 1869 zakład został otwarty. Plan liceum skierowano ku temu, ażeby młoda kobieta skończywszy wyższy kurs nauk szkolnych, mogła otrzymać dalsze ukształcenie, jakie daje męszczyznom uniwersytet w odczytach o dziejach, sztuce, literaturze i umiejętnościach ścisłych. Nowo otwarty zakład miał dać głębszą naukę pod względem nauk przyrodzonych, historyi powszechnej, historyi sztuki i literatury głównych narodów cywilizowanych (w ich własnych językach); a wszystko w formie prelekcyj. Już sama nazwa „Liceum“ wskazuje, że nie udzielają tam nauk fachowych. Każda kobieta wybierała tu dowolnie przedmioty, które najwięcej odpowiadały jej chęci i skłonności. Rok szkolny trwa tu bardzo krótko; z początku dzielił się na dwa kursy: obecnie na trzy: od października do grudnia, od grudnia do marca i od marca do maja. Środkowy kurs kosztuje *3* talary, dwa skrajne po 2 talary. Każdy kurs zawiera ośm do dwunastu odczytów, które, z wyjątkiem fizyki i chemii, odbywają się w sali *muzeum przemysłowego*. Liczba uczęszczających z rokiem każdym zwiększała się: zpoczątku słuchaczek było 200, po kilku latach 450; prawie połowa słuchaczek obecnych uczęszcza do zakładu od początku jego otwarcia, co jest pochwałą zarówno wytrwałości berlińskich kobiet, jak i pochlebnym świadectwem dla umiejętnego wykładu profesorów. Ażeby dążeniu do gruntowniejszej wiedzy zadość uczynić praktycznie, zakład daje sposobność kobietom słuchającym wykładów angielskiej i niemieckiej literatury do samodzielnych piśmiennych prac. Nadsyłanie ich zostawia się oczywiście do woli słuchaczek, a imię autorki utrzymuje się w największej tajemnicy; wypracowania ulegają szczegółowej i gdzie potrzeba surowej krytyce. (Pierwsze próby wypadły podobno bardzo niepomyślnie). W zimowym kursie roku 1873 (od grudnia do marca) były następujące prelekcyje: Dzieje najnowsze od 1848 r., o Herderze, o chemicznych skutkach światła, o filozofii i jej dziejach, o dramatach Sofoklesa, o magnetyzmie i akustyce, o Corneillu, Rasinie i Voltairze, o epoce najwyższego rozwoju sztuki greckiej, o protestantyzmie od Kanta aż do dni dzisiejszych.—Liceum Wiktoryi zainteresowało sprawą wyższego ukształcenia kobiet najwyborowsze sfery kolońskiego towarzystwa i zdziałało wiele dobrego dla praktycznego urzeczywistnienia samej kwestyi kobiecej.

Podobny plan znajdujemy w dwu innych zakładach: w *liceum Alicyi w Darmsztadzie* i w *liceum kobiecym we Wrocławiu* (Breslauer Damen-Lyceum). Oba istnieją od r. 1870. Liceum Alicyi ma za protektorkę księżnę heską, kobietę mającą już tak pewien rozgłos w dziedzinie kwestyi kobiecej. Powstanie zakładu łączy się z odczytami, jakie jego obecna kierowniczka znana autorka *Ludwika Büchner* przez jakie lat dziesięć w domu swoim wobec małego kółka dam miewała. Z powołania nie była ona nauczycielką, czuła jednakże żywo braki niewieściego wykształcenia. Jako najważniejszy może owoc działalności panny Büchner przedstawia się „Komitet wykształcenia,“ pod prezydencyją wspomnianej księżnej Alicyi utworzony. Właśnie w zimie 1869 r. poznała panna Büchner w Berlinie liceum Wiktoryi, a wróciwszy, powzięła myśl urządzenia w Darmsztadzie podobnego zakładu. Oczywiście musiała się zastosować do stosunków miejscowych. Urządziła kurs jeden tylko, a liczbę przedmiotów ograniczyła do czterech. W pierwszych semestrach wśród profesorów tego liceum znajdował się i znany poeta niemiecki *Otto Roquette*. Publiczność składa się z młodych i starszych dam, a nawet i *babek* (Grossmütter) podobno nie braknie.

Liceum Wrocławskie otwarte zostało 7 lutego 1870 r. przez pannę *Amaliją Thilo*. Wykładają w nim: dyrektor szkoły realnej i kilku docentów uniwersytetu. Sama kierowniczka uczy pedagogiki ze szczególnym uwzględnieniem myśli Pestalozzego i Froebla. Przedmiot ten, jak niemniej wykład *chemii gospodarczej*, stanowią cechę charakterystyczną liceum wrocławskiego.

Niemcy, na których w wielu razach, a mianowicie w rzeczy wychowania, powoływać się lubimy, zwracają uwagę na ten szczegół i najgoręcej sobie życzą, ażeby kobiety mogły się stać *rozumniejszemi* niż dotychczas *wychowawczyniami*, i ażeby matki przyszły do pełnej świadomości swego wychowawczego powołania, dla spełnienia którego potrzebują nabyć wielu i bardzo wielu nauk. „Doprawdy mocno wypada ubolewać nad tym— powiada Kreyenberg — że większa część kobiet nie uważa za potrzebne dokładnie się zapoznać z pełnemi znaczenia myślami Pestalozzego i Froebla.

Z początkiem roku 1874 miano otworzyć w *Dreźnie akademiją dla kobiet*. Czy projekt ten przyszedł do skutku i w jakie rzeczywiste przyoblekł się kształty, dotąd nic nam jeszcze niewiadomo. Pilnie śledząc objawy praktycznego urzeczywistnienia projektów, nie omieszkamy donieść czytelnikom naszym, jak tylko otrzymamy dokładne informacyje.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. W. z Hrubieszowa. Wiersz pański nie może być u nas pomieszczony.

P. J. Januszowi. Wiersz pański jest do zwrotu.

Panu Montw... w Poniewierzu, Kalendarz domowy Noskowskiego na r. 1874 niewyszedł.

Дозволено Цензурою.—W drukarni Opiekuna Domowego.—Warszawa, Nowy Swiat, Nr. 30 (nowy).

Wydawca i Redaktor Henryk Perzyński.